Paźdz.–Listopad 2018

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

241

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

WYPRAWA W GÓRY BETYCKIE

Piotr „Alojz" Piwczyk

Podczas tegorocznych wakacji zrealizowałem swoje marzenie i dotarłem do gór Andaluzji. Oddalone o ponad trzy tysiące kilometrów góry zobaczyliśmy dopiero po pięciu dniach podróży. Po noclegu na kampingu w Moosch w Alzacji podjechaliśmy samochodem na parking, położony na wysokości 1280 m i weszliśmy na Grand Ballon, najwyższy szczyt Wogezów (1424). Na wierzchołku znajduje się stacja radarowa w kształcie bani, a także kamienny pomnik, upamiętniający francuski klub górski. Oprócz ciekawych widoków na Wogezy zobaczyliśmy zarysy Alp szwajcarskich i gór Jura. Krajobrazy Wogezów przypominały nasze Beskidy.

By zmniejszyć koszty, wybieraliśmy we Francji kampingi municypalne i omijaliśmy płatne autostrady. Przejechaliśmy przez setki rond Limoges, Périgueux, Bergerac, Mont de Marsan, Orthez i wreszcie dotarliśmy do pirenejskiego Bedous. Tu nie dane nam było odpocząć, wilgotny chłód i odgłosy zbliżającej się burzy zniechęciły nas do pozostania i rankiem następnego dnia ruszyliśmy do cieplejszych stron świata. Przejechaliśmy przez znany z wcześniejszych podróży ośmiokilometrowy tunel Somport, stanowiący dogodne przejście przez Pireneje do Hiszpanii. Dopiero za Saragossą odczuliśmy, że jest cieplej i słoneczniej. Pod wieczór zobaczyliśmy Góry Betyckie, całkiem strome i suche. Przed północą dotarliśmy na kamping, położony na pustkowiu w Sierra de María. Nocne niebo z ogromną ilością gwiazd, a rano widoki na liczące ponad dwa tysiące metrów góry wprawiły nas w doskonały nastrój.

Hiszpania nie przywitała nas rekordowymi upałami. Cały czas było pogodnie, jednak temperatura przez wiele dni ledwie dochodziła do trzydziestu stopni. Być może dlatego, że kamping znajdował się na wysokości 1200 m. W miejscowości María, oddalonej o 6 kilometrów, kupiliśmy owoce, w tym pomarańcze za 50 centów. Następnego dnia poszedłem w góry Sierra de María. Nie miałem szczegółowej mapy, w recepcji rozkładano ręce, gdy pytałem o drogę na najwyższy w paśmie szczyt María (2046). Znalazłem dogodną przecinkę i podszedłem pod średnio stromy stok. Klucząc między pojedynczymi krzewami i głazami, wszedłem na grzbiet, który wyprowadził mnie na wspomniany szczyt. Z płaskiej i szerokiej powierzchni szczytowej widać było w oddali Sierra de La Sagra (2383), położoną osiemset metrów niżej miejscowość María, a także ciągnący się grzbiet, przypominający u góry połoniny, opadający stromo na północ i południe skalistymi stokami.

Sierra de La Sagra to drugi pod względem wysokości masyw w Górach Betyckich. Jej wybitny wierzchołek pięknie prezentował się w naturze, a wcześniej w internecie. Podjechaliśmy wąską drogą do Puebla de Don Fabrique i stamtąd w stronę przełęczy Collados de La Sagra. Przy drodze zauważyliśmy napis „Ascencion al Pico de La Sagra". Zostawiliśmy samochód na polu i poszliśmy szeroką drogą w stronę szczytu. Wokół było kompletne pustkowie, żadnych oznakowań, rzadki las sosnowy zapewniał trochę cienia. Na rozwidleniu drogi poszliśmy w prawo do góry. Wspomniane przez miejscowych refugio okazało się dawnym schronem pasterskim. Wyżej pojawiła się wyraźna ścieżka, przez pewien czas oznakowana. Później szliśmy już na wyczucie po stromym, miejscami piarżystym stoku, pełnym zarośli w stylu makia.

Dotarliśmy na przełęcz i tu znowu pojawiły się żółte znaki. Przed nami prezentował się wyższy jeszcze o dobre czterysta metrów wierzchołek Sagry (2383). Żona postanowiła zaczekać pod rozłożystą sosną, a ja ruszyłem w stronę szczytu. Oznakowana trasa wiła się stromo w górę, w stronę bardziej spadzistego stoku Sagry. Wreszcie wszedłem na grzbiet i dalej wznosząc się dość łagodnie ścieżką pełną żwiru, dotarłem na szczyt pozbawiony jakiejkolwiek roślinności. Mimo idealnej pogody widoki obejmowały jedynie bliższe góry i okolice. Dalszą perspektywę zasłaniała lekka mgiełka, powstała z powodu upału i unoszącego się kurzu, bo wszędzie wokół było bardzo sucho. Uradowany zrobiłem kilka fotek i grzecznie wróciłem do mojej żony. W drodze powrotnej kierowaliśmy się pojawiającymi się czasami znakami. Droga okazała się znacznie dłuższa od tej, którą wcześniej sami sobie wyznaczyliśmy. Znaki nagle skończyły się, jednak po stu metrach doszliśmy do rozwidlenia, gdzie rano poszliśmy w drugą stronę. Zadowoleni wróciliśmy na oddalony o 40 kilometrów kamping w Marii.

Stamtąd pojechaliśmy do pobliskiej miejscowości Vélez Blanco. Ze wspaniałego zamku zbudowanego po wygnaniu Maurów roztaczał się piękny widok na miasteczko z białymi domami i czerwonymi dachówkami. W Vélez Rubio czekaliśmy do godziny 17.30, bo dopiero wtedy kończyła się sjesta i można było kupić w sklepie prowiant.

Nadszedł czas na góry Sierra Nevada. Po drodze zajechaliśmy do miejscowości San José, leżącej na Półwyspie Cabo de Gata. Było tam bardzo ciepło, ale woda w morzu dość zimna. Przyroda wspomnianego półwyspu podlega ochronie usankcjonowanej przez UNESCO. Przylegające do morza suche góry Sierra del Cabo de Gata wyrastają na wysokość czterystu metrów. Pobyt w San José trwał tylko kilka godzin, choć chciało się wejść na którąś z tych górek o wschodzie bądź zachodzie słońca.

Sierra Nevada

Do Trevélez dotarliśmy od wschodu, droga była przepaścista, miejscami w ogóle nie zabezpieczona. Kamping leży trochę nad miejscowością, podobno najwyżej położoną w Hiszpanii. Zwiedziliśmy Trevélez, najstarsze, kamienne domy znajdowały się w najwyższej części. Miejscowi pasterze poruszają się konno po górach, dlatego widok „zaparkowanego" konia i towarzyszącego mu psa nikogo tam nie dziwi. W witrynach sklepowych rzucały się w oczy, wiszące na hakach, potężne udka produkowanej na miejscu szynki (tzw. jamón de Trevélez).

Postanowiłem zdobyć Mulhacén w ciągu jednego dnia. Mój plecak zawierał głównie odpowiednią porcję wody i jedzenia. Wyszedłem rano o szóstej, gdy było jeszcze prawie ciemno. Ruszyłem stromo w górę zakosami w stronę szczytu Alto del Chorrillo (2721). Zajęło mi to ponad trzy godziny. Potem droga wypłaszczyła się, za to pojawiły widoki na Veletę (3396), na której stokach było całkiem dużo śniegu. Do Alto Chorillo można dojechać samochodem terenowym z Capileiry. Poszedłem w stronę Muhacéna II (3262), trasa była dobrze oznaczona, trudność sprawiał zimny wiatr, wiejący z przeciwnego kierunku. Dlatego stopniowo zakładałem polar, kurtkę, czapkę. Wiało tak jak na Babiej wieje zimą. Po drodze widziałem z pewnej odległości kozły górskie. W dole widoczne było jezioro, położone pomiędzy Mulhacenem i Veletą oraz znajdujący się nad nim schron Refugio de la Caldera. Gdy po ponad dwóch godzinach marszu dotarłem do Mulhacéna II, byłem nieco zmęczony. Stamtąd zobaczyłem wierzchołek Mulhacéna (3479). Idąc średnio stromą ścieżką po rumoszu skalnym, pozbawionym wszelkiej roślinności, wszedłem na najwyższy wierzchołek Sierra Nevada. W całości wejście trwało niecałe siedem godzin. Gdy znalazłem się na niewielkim, wystającym na trzy metry właściwym wierzchołku, zauroczył mnie widok na północ. Mulhacen opada w tym kierunku kilkusetmetrową przepaścią, w dole prezentowała się dzika dolina z niewielkim jeziorkiem. Odszukałem wzrokiem dwa szczyty: Veletę na zachodzie i Alcazabę (3371) na północnym wschodzie. Wreszcie przestało wiać, posiedziałem na Mulhacenie dobre dwie godziny. Powrót tą samą drogą trwał znacz-

cd. str. 2

nie krócej, w Trevélez pojawiłem się po ósmej. Byłem zmęczony, ale bardzo zadowolony z osiągnięć i widoków tego dnia.

Nieco na północ od Sierra Nevady leżą góry Sierra de Mágina, do których dotarliśmy po kilkugodzinnym zwiedzaniu Grenady. Zatrzymaliśmy się na kampingu El Cantonet koło miejscowości Albanchez de Mágina. Tym razem było gorąco, góry suche i dzikie. Wszędzie wokół panuje monokultura, pola oliwek zajmują każdą wolną piędź ziemi. Sierra de Mágina osiągają wysokość 2165 metrów. Przyjrzeliśmy się im z bliska z niesamowitych ruin zamku, zdecydowanie górującego nad Albanchez de Mágina. Bardzo ciekawie prezentowała się podobna do Giewontu góra, wystająca nad sąsiednią miejscowością Bedmar. Jak się okazało, szczyt Pico de Mágina byłby bardziej dostępny od południa, od strony miejscowości Huelma. Pod szczytem od tej strony znajduje się Refugio de Miramundos. Może kiedyś, może innym razem...

Znowu ruszyliśmy na północ, wykąpaliśmy się w morzu koło Walencji i zatrzymaliśmy się na kampingu Los Alamos w górach Sierra de Gúdar, stanowiących południowy fragment Gór Iberyjskich. Z wysoko położonego kampingu (1400) ruszyliśmy pieszo w stronę Pico Penarroya (2028), najwyższego punktu prowincji Teruel. Mimo wysokości łagodne w kształcie góry przypominają Beskidy i są zielone, pełne roślinności, czym mocno różnią się od innych gór Hiszpanii. Pod szczytem znaleźliśmy całkiem wygodne i darmowe refugio ze źródłem wody. Sam wierzchołek jest zalesiony, widok zapewnia kamienna wieża widokowa, podobna do komina.

Zatrzymaliśmy się jeszcze na kampingu w Jace, leżącej na przedpolu hiszpańskich Pirenejów. Widać stamtąd główny grzbiet Pirenejów, wyróżniał się zwłaszcza Pico de Collarada (2883). Niestety, Pireneje tylko czasami były widocznie, nad nimi kłębiły się potężne chmury. Na nasz kamping przyjechało wielu Francuzów, by wysuszyć namioty, bo we Francji szalały burze i gwałtowne ulewy. Korzystając ze względnie dobrej pogody, wszedłem na leżący na południe od nas skalisty Pena de Oroel (1769). Ponieważ była to sobota, na tym popularnym szczycie spotkałem wielu ludzi oraz... dzikie owce (lub kozy?). Wyższe niż udomowione zwierzęta, domagały się jedzenia, pozowały do atrakcyjnych zdjęć, czasami ostro trykały się rogami, wywołując popłoch wśród ludzi. W starej części miasta Jaka zwiedziliśmy katedrę oraz rozległą twierdzę z XVII w.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się jeszcze w górach Schwarzwald. Z wioski Feldberg, położonej wysoko na przełęczy, poszliśmy na najwyższy szczyt tych gór, który nosi taką samą nazwę jak wspomniana wioska (1492). Po raz kolejny przekonaliśmy się, że w Niemczech góry są pełne dróg asfaltowych i różnych budynków. Mimo tego niektóre boczne doliny prezentowały się całkiem urokliwie i dziko, co uwieczniłem na zdjęciach.

Na koniec chciałbym wrócić do Hiszpanii i wspomnieć o ciekawych aspektach wyjazdu z zeszłego roku (2017). Spędziliśmy wtedy wakacje w Górach Iberyjskich. Już kilka lat wcześniej zapoznaliśmy się z tymi górami, zdobywając najwyższe pasmo Sierra del Moncayo (2316).

Trochę przez przypadek spędziliśmy tydzień w maleńkiej miejscowości Aliaga, w górach San Just, nieco na północny - wschód od miasta Teruel. Aliaga leży na wysokości 1100 metrów, zaś wznoszące się wokół szczyty nieco przekraczają 1400 m. Teren jest niezwykle malowniczy, pełen skałek o fantazyjnym kształcie. Na jednej z nich, blisko cenrum Aliagi, znajdują się ruiny średniowiecznego zamku, zbudowanego przez joannitów, na wzór zamku Krak des Chevaliers. Niestety, w 1840 r. w czasie wojny domowej, zwanej wojną karlistów, doszło do ostrzelania zamku z armat i od tego czasu jest ruiną. Z jego szczytowej części pięknie prezentuje się leżące w dole miasteczko, ale także różne formy skalne, nieraz niesamowicie przesunięte i powykręcane. Najciekawsze części tworzą park geologiczny. W miejscowym kościele podczas ślubu mieliśmy okazję zobaczyć występ zespołu, który prezentował aragońskie pieśni i tańce z kastanietami.

„Giewont" w górach Sierra de Mágina.

Okolice Aliagi.

Sierra de la Demanda.

Góry Sierra de la Demanda leżą w prowincji autonomicznej La Rioja i stanowią drugie pod względem wysokości pasmo Gór Iberyjskich (2271). Są najbardziej na zachód wysuniętą partią tych gór. Zatrzymaliśmy się na kampingu Berceo, blisko miasteczka San Millán de la Cogolla. Znajdują się tam dwa klasztory: starszy i wyżej położony Suso z X wieku oraz nieco młodszy Yuso, wielokrotnie przebudowywany w stylu renesansowym i barokowym. Pierwszy z klasztorów powstał na miejscu pustelni św. Emiliana z VI w. Oprócz tego grobu w Suso znajduje się także grób Gonzalesa de Berceo, pierwszego znanego z imienia poety hiszpańskiego. Podjechaliśmy samochodem w głąb doliny i ruszyliśmy wygodną ścieżką w stronę San Lorenzo, najwyższej góry tego pasma (2271).

Wejście zajęło nam kilka godzin, góry są raczej łagodne w kształtach. Po drodze widać było ślady potężnych obrywów, a w pobliżu szczytu instalacje narciarskie. Mimo tego góry Sierra de la Demanda, pełne pasącego się bydła, sprawiały wrażenie dzikich, na bocznych drogach nieraz napotykaliśmy przeszkodę w postaci idących krów, koni. Góry te stanowią piękne tło dla sylwetki klasztoru Yuso. Kręcono w nich spaghetti western „Dobry, zły i brzydki" z Clintem Eastwoodem.

Zatrzymaliśmy się jeszcze w baskijskim Erratzu, najbardziej na zachód wysuniętej części Pirenejów. Zielone pola, ogrodzone kamiennymi murkami przypominały raczej Anglię niż Hiszpanię. Podczas naszego pobytu najczęściej lało, we mgle wszedłem na najwyższy w okolicy szczyt Autza (1306). Piękny, bezleśny w górnej partii szczyt przypominał Babią Górę. Na wierzchołku znajduje się charakterystyczna rzeźba przedstawiająca dwóch mężczyzn i napis w języku baskijskim. W pobliżu Erratzu znajduje się wodospad Xorroxin. Natomiast w Zugarramurdi, przy granicy z Francją, zwiedziliśmy grotę Cueva de las Brujas, bardzo piękną, pełną kolorów.

Hiszpania zaskakuje w każdym wymiarze. Jadąc przez małe miejscowości, można zauważyć wspaniałości z różnych epok historycznych i geologicznych. Po drodze z Aliagi do San Millán de la Cogolla zatrzymaliśmy się w Almenar de Soria, by zobaczyć wspaniały zamek z XVI/XVII w., w którym przebywali królowie Hiszpanii Karol II Habsburg i później Filip V Burbon. W miejscowości Quintanilla de las Vinas oglądaliśmy kościółek Wizygotów z VII w., a kilometr dalej znajdują się zachowane ślady dinozaurów. Podziwialiśmy białe, szachulcowe domy w Covarrubias, a w pobliskim Salas de los Infantes groty, w których chronił się człowiek prahistoryczny. Na koniec wspomnę o wspaniałych wąwozach, jak np. Yecla koło klasztoru Santo Domingo de Silos.

Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wrócimy do Hiszpanii, choćby po to, by dokładnie spenetrować góry Sierra de Mágina.

Piotr „Alojz" Piwczyk

GREEN VELO: RZESZÓW - LUBLIN

Trzeci wyjazd na szlak Green Velo postanowiłem zorganizować samodzielnie. Początkowo ekipa miała być liczniejsza, potem różne okoliczności spowodowały, że zostało nas 5 osób: Ewa i Romek Kowalówka, Janusz Mroczek, Jola i ja.

Co prawda na starcie w Rzesowie stawiło się 8 osób – prócz wymienionych – Paskuda, Darek i Tymek, ale z powodu kontuzji Darka, która okazała się poważniejsza niż się wydawało, już pierwszego dnia Paskudy musiały zrezygnować z dalszego uczestnictwa.

Ze względów komunikacyjnych w tym roku wybrałem trasę z Rzeszowa przez Włodawę do Lublina. Cała trasa liczyła ok. 520 km i mieliśmy ją przebyć w 7 dni, od soboty 21.07 do piątku 27.07. Sobotę 28.07 chcieliśmy poświęcić na zwiedzanie Lublina i obejrzenie odbywającego się tam Festiwalu Sztukmistrzów, a niedzielę na powrót do domu.

W tym roku nie mogliśmy liczyć na wsparcie wozu technicznego i całą trasę pokonaliśmy bez wspomagania. Nie wpłynęło to jednak na sprawność działania ani na długość pokonywanych w ciągu dnia odcinków, która wahała się od 60 do 100 km. Noclegi planowaliśmy w PTSMach, na kampingach i w agroturystykach. W praktyce namioty rozbiliśmy tylko raz, pozostałe noclegi udało się zorganizować pod dachem. Obiady jedliśmy w restauracjach.

Obowiązkowym punktem każdego dnia – skrupulatnie pilnowanym przez Janusza – była dopołudniowa kawa. Brak kawy powodował widoczny spadek morale i średniej. Do kawy należało oczywiście dodać nieco kalorii, by się lepiej jechało.

Co do fragmentu GreenVelo, jaki przebyliśmy, to uważam, że szlak był chyba gorzej przygotowany w stosunku do poprzednio przejechanych odcinków. Zbyt dużo było dróg publicznych – czasem z niemałym ruchem samochodowym, za mało dróg leśnych. Natomiast gdy przed Krasnymstawem wreszcie ucieszyłem się, że zaczyna się kawałek polnej drogi, to okazała się ona nieprzejezdna – gliniasta i rozmiękła po opadach deszczu, i w dodatku ostro pod górkę. Nawet pieszo trudno było pokonać ten odcinek, a rower i buty wymagały potem solidnego czyszczenia. Tzw. MOR-y były dość skromnie wyposażone. Oznakowanie było generalnie dobre, choć w kilku miejscach zdarzyły się braki.

Nie brakowało natomiast atrakcji i ciekawostek krajoznawczych, a ponieważ ekipa była chętna do zwiedzania, więc zobaczyliśmy sporo interesujących miejsc i obiektów. W Łańcucie zwiedziliśmy bardzo ciekawą synagogę, pałac oraz wystawę ikon. W Rudniku nad Sanem pozytywnie zaskoczyło nas ciekawe i oryginalne Muzeum Wikliniarstwa oraz wielki wiklinowy smok na rynku. W Biłgoraju zwiedziliśmy miniskansen „Zagroda Sitarska" oraz powstające dopiero Miasteczko Kresowe z imponującą rekonstrukcją drewnianej synagogi i innymi zabudowaniami, które w przyszłości stanowić mają żywy skansen.

Smok w Rudniku nad Sanem.

Wprawdzie w naszej ekipie tylko ja i Janusz byliśmy smakoszami piwa, tym niemniej nie uszło naszej uwadze, że nasz szlak można by nazwać szlakiem browarów, takich jak Łańcut, Leżajsk, Zwierzyniec czy lubelska Perła.

Nie omieszkaliśmy też sprawdzić, jak brzmi chrząszcz w Szczebrzeszynie. Chrząszczy znaleźliśmy tam pod dostatkiem, a prócz tego obejrzeliśmy kościół, odrestaurowaną cerkiew z odkrytymi niedawno freskami i dawną synagogę, w której urządzono dom kultury, zachowując wystrój głównej sali.

Zrekonstruowana synagoga w Biłgoraju.

Wnętrze synagogi we Włodawie.

Ciekawym miasteczkiem okazał się Chełm ze wzgórzem kryjącym zabytki z czasów średniowiecza oraz zespołem kościelno-klasztornym. Zwiedziliśmy też chełmskie podziemia kredowe.

A potem dotarliśmy do najdalej wysuniętego na północny-wschód punktu naszej trasy – Włodawy. Mimo iż tego dnia mieliśmy do przejechania ok. 100 km, udało się poświęcić sporo czasu na zwiedzanie miasteczka oraz zespołu synagogalnego, w którym prócz Wielkiej i Małej Synagogi urządzono muzeum z ekspozycjami etnograficznymi, fotograficznymi i historycznymi. Dotarliśmy też do granicy polsko-białoruskiej. Nie mieliśmy już natomiast czasu, aby odnaleźć słynny wodowskaz na Bugu. Młodsi koledzy może nie pamiętają radiowych komunikatów o tym, że na Bugu we Włodawie przybyło/ubyło 5.

We Włodawie opuściliśmy Green Velo i ruszyliśmy w kierunku Lublina szlakami innymi, początkowo dość piaszczystymi. Zanim dotarliśmy do końca wędrówki, zwiedziliśmy jeszcze muzeum Poleskiego Parku Narodowego oraz pieszą ścieżkę przyrodniczą. Nie wymieniam tu oczywiście pomniejszych obiektów typu kościoły i kościółki, cerkwie, pałace itp., których było na trasie pod dostatkiem.

Na koniec, w piątkowy wieczór oraz całą sobotę powłóczyliśmy się po Lublinie, w którym odbywał się Festiwal Sztukmistrzów. Na ulicach pełnych turystów można było się przyjrzeć popisom żonglerów, linoskoczków, ulicznym przedstawieniom, a wieczorem spektaklom typu światło i dźwięk. W piątek można też było oglądać zaćmienie księżyca, które wypadało akurat w ten wieczór.

Wracaliśmy metodą kombinowaną – z Lublina do Kraśnika wynajętym busem oraz komunikacją zastępczą, z Kraśnika do Rzeszowa szynobusem, a dalej samochodami. W sumie wyjazd był bardzo udany, a program udało się zrealizować w 100 procentach. W następne wakacje planujemy zrobić kolejny odcinek Green Velo.

Jacek Ginter

LEŚNY FELIETON PRZEDZIMOWY

Proszę państwa, oto miś… Na pewno wszyscy wyobrazili sobie Króla Lasu w gustownej muszce, ale to nie o nim chcę wam dzisiaj opowiedzieć. Bo miś, choć w zimie nieosiągalny, jest znany daleko poza granicami Lasu. Chcę przedstawić pewien endemiczny gatunek, który harcuje podczas przydługiej nieco drzemki misia. Chodzi o Skiturowca.

O Skiturowcach powiedziano jak dotąd mało, choć nie jest to efekt zaniedbania, raczej ich wrodzonej skrytości i, być może, zamiłowania do miejsc odludnych i cichych. Skiturowiec chadza własnymi ścieżkami, jest eteryczny i nieuchwytny jak mgła o świcie. Ubarwienie niektórych osobników dalekie jest od kamuflującego, ale zachwyca i to nie tylko samice. Co ciekawe, Skiturowiec nie ma naturalnych wrogów, choć istotnym zagrożeniem jest pewien szkodnik z rodziny Silnikowatych – Skuterowiec. Skuterowce bowiem płoszą nieśmiałe Skiturowce głośnym warkotem rozdzierającym błogą ciszę zimowego Lasu.

Być może niektórzy słuchacze chcieliby dowiedzieć się, gdzie obserwować (bo przecież nie upolować) Skiturowca. Obszary najliczniejszego występowania to takie miejsca jak Rysianka, Pilsko czy Kasprowy Wierch. W wyniku zintensyfikowanego w ostatnich latach działania Strażników został wyparty z terenów Babiej Góry, co badacze i sympatycy tego przemiłego stworzenia skonstatowali z niemałym smutkiem.

Co zatem powinniśmy zrobić, by Las był pełen Skiturowców? Po pierwsze, nie bądź obojętny na krzywdę tych bezbronnych stworzeń! Należy głośno sprzeciwiać się fałszywej narracji obarczającej ten gatunek odpowiedzialnością za szkody i lawiny. Po drugie, wspomagaj lokalne stadka Skiturowców. Choć są odporne na mróz, często muszą mierzyć się z innym, jakże powszechnym w zimowym Lesie, problemem – głodem. Jadłospisy Skiturowców różnią się w zależności od odmiany, jednak do ich przysmaków należy gorąca herbata, batoniki i naleśniki. Chociaż wielu Skiturowcom świecą się oczy na takie kąski jak ogon szczura czy tłuściutkie foki, nie należy ich dostarczać samemu – dorosłe osobniki stronią od padlinożerstwa i wolą same polować.

O skiturowcach pisała korespondentka leśna Pola Zielańska

ZKSR 2018

Kleszczów – Kotlarnia 21.10.2018

Chłody i nocne deszcze nie przestraszyły grupki Mamutów, którzy w niedzielny ranek 21.10.2018 r. przybyli do Kleszczowa, by po raz kolejny zakończyć sezon rowerowy. Po herbatce u Miksera i zrobieniu strażackiego zdjęcia wyruszyliśmy w 11 osób w stronę Łączy, Kozich Ław, a potem Korzonka. Towarzyszył nam widok coraz bardziej kolorowych lasów. Były też postoje na uzupełnienie energii różnymi słodkościami. W połowie trasy dotarliśmy do kopalni piasku w okolicach Kotlarni. Przejazd brzegiem tej wielkiej piaskownicy piaszczysto-błotnistą drogą, chwilę wcześniej rozjeżdżoną przez cały konwój terenowych samochodów był sporym wyzwaniem, ale daliśmy radę. No i jak stwierdził Jacek P. „przynajmniej się nie kurzyło". Po 40 km dotarliśmy wreszcie na zasłużony i całkiem niezły obiad do Goszyc. A po następnych 15 km zakończyliśmy trasę u Miksera w Kleszczowie. Miało być ognisko, ale było już trochę późno i uznaliśmy, że równie przyjemnie będzie przy kominku.

W imprezie wzięło udział 11 osób: Mikser i Bożena, Raketa i Lidka, Jacek Piec, Romek i Ewa Kowalówka z córką Agnieszką, Piotr Sąsiedzki, Jacek i Jola Ginter.

Redakcja

Od lewej: Jacek G., Piotr S., Bożena B., Lidka H., Jola G., Witek B. czyli Mikser, Jarek H. czyli Raketa, Jacek P., Romek K., Agnieszka K., Ewa K.

TO BYŁO

✔ 12–14.10 pierwszy termin egzaminu praktycznego zakończył się wynikiem 4:2 dla kursantów. Zdali: Asia Kureczko, Krzysiek Skowronek, Stefan Becker i Darek Paździorek. Komisję stanowili Marek Turlej, Jasiek Pizoń i Staszek Wierzchowski.

✔ 21.10 Zakończenie Kołowego Sezonu Rowerowego.

✔ 21.10 Koło wzbogaciło się o 12 Przewodników Ojcowskich. Kurs i egzamin zaliczyli: Helcia, Orzech, Iza, Michał Kulanek, Aurelia, Aga Widak, Gosia Uman, Cieszynka, Nowy, Basia Jelon, Belfegor, Darek T..
Natomiast egzamin pańswowy na Przewodnika Beskidzkiego zdał tegoroczny blachowany Dariusz Mazur.

✔ 27–28.10 do drugiego terminu egzaminu praktycznego przystąpiło troje kursantów. Pozytywny wynik uzyskali Marta Biedak i Jacek Malcher. Komisję stanowili Rysiek Antonik, Jasiek Pizoń i Zbyszek Drapała.

TO BĘDZIE

W listopadzie zapraszamy wszystkich Haransi i kursantów na następujące spotkania:

❋ 14.11 godz. 18.00 wykład o nowej regionalizacji Beskidów organizowany przez SKPB Katowice. Miejscem spotkania jest Wydział Biologii i Ochrony Środowiska, ul. Jagiellońska 28. Prelegentem będzie pan dr hab. Jarosław Balon, adiunkt w Instytucie Geografii i Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden ze współautorów nowego podziału fizjograficznego terenu naszych uprawnień, a ponadto przewodnik górski i podróżnik.

❋ 25.11 kolejne spotkanie z cyklu Kulturalne Podróże Kulinarne. Prezentację pt. „Malezja – kuchnia na styku kultur" poprowadzi Krzysztof Lubowiecki.

❋ 26.11 godz. 17.30 w sali konferencyjnej w Mrowisku organizowana jest Pecha Kucha. Wszyscy prelegenci, którzy pragną podzielić się swoimi wakacyjnymi przygodami, powinni wysłać informację na adres: gosia.holomek@gmail.com.

❋ 7–9.12 Rajd Mikołajkowy z zakończeniem w SSM w Ochotnicy.
Trasa sobotnia „Z elfami za pan brat": Tylmanowa – Lubań – Runek – Ochtonica.
Trasa piątkowo-sobotnia „Na tropie reniferów": Klikuszowa – Koliba na Łapsowej Polanie – Bukowina Miejska – Turbacz – Kiczora – Przełęcz Knurowska – Ochotnica.

Wjeżdżamy na teren wielkiej „piaskownicy".